



POLSKA Zbrojna



Ostrówki. Warkoczek
zamordowanej dziewczynki.

11 lipca 2018 roku, 75. rocznica ludobójstwa na Wołyniu

Dzieci z Wołynia nie chcą iść spać

Pamiętam kadry filmu sprzed lat, dokumentującego porwót ocalańca do rodzinnej wsi. Człowiek ten, będąc dzieckiem, ukryty wśród łanów zbóż, obserwował kaźń swoich bliskich. Odnalazł teraz skraj lasu, przy którym już na granicy życia został odnaleziony. Rękoma odgarniał trawę dzikiego pola, szukając fundamentów swego domu. Naprzeciwko zebrało się kilku mieszkańców wioski. Pytani, niechętnie odpowiadali, omijając wzrokiem gościa z Polski. Nagle jeden z nich zamaszyście wyciągnął rękę, mamrocząc coś w stylu: „co było, to było”, i poklepał Polaka mocno po ramieniu. Mężczyzna porwócił, nie zaznawszy ulgi. Do dziś boi się własnych snów. Słyszy wtedy płacz brata. Ten płacz przed laty sprowadził morderców do ich kryjówek.

Właściciel jednego z wołyńskich majątków miał fantazję. Doczekał się trzech córek, w kolejnych aktach chrztu widniały imiona: *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość*. Podobno ojciec tak nieustępliwie forszował swój pomysł, że ksiądz ustąpił. Oryginalne imiona miały być fetyszem, który zapewni dziewczynkom dobre życie. Ojciec zmobilizowany w 1939 roku nie wrócił z wojny. Brat ojca, jedyny ocalały, bezskutecznie poszukiwał po latach jakiegokolwiek śladu po rodzinie. Kiedy stał wśród spalonych zgliszcz, ktoś miejscowy szeptem wyjarwił mu, że *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość*, te ładne polskie panny umierały kolejno. Jedna po drugiej. Ale nikt już nie pamięta, która ostatnia.

Możemy dać im tylko pamięć, ale jednak pamięć o Wołyniu to za mało.

Anna Putkiewicz
redaktor naczelny kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia”

WOŁYŃ wciąż woła o prawdę i pamięć

Pomnik Rzezi Wołyńskiej w Warszawie.

Skwer Wołyński, ulica Gdańska. Przed krzyżem znajduje się 18 tablic z nazwami miejscowości z siedmiu przedwojennych województw II Rzeczypospolitej: wołyńskiego, poleskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, lwowskiego oraz częściowo lubelskiego i krakowskiego.

Cisza nad Trupim Polem

Kiedy po raz pierwszy stanąłem na Trupim Polu, uderzyła mnie nijakość tego miejsca. Ludzie zwykli mitologizować śmierć, w miejscach nią naznaczonych wyczurwając jakąś nadnaturalną aurę. Ja widziałem tylko kępę rachitycznych sosen, otoczoną pastwiskami i poprzecinaną siatką kanałów. Wszecoboczne piaski, na których nie sposób spodziewać się obfitych plonów. Oj, krajobraz Polesia, którego czar z przedwojennej piosenki jakoś do mnie nie trafiał. Trupie Pole wydawało się nie kryć żadnego genius loci, tak jakby nigdy nie wydarzyło się tam nic godnego uwagi. Tak jakby nagła śmierć zadana setkom niewinnych ludzi wsiąkla

w tę ziemię bez śladu. Jedyne echem dawnej grozy stał się groteskowy toponim. Ludzie zwykli pytać: „gdzie zebrałeś takie ładne maślaki?”. „Na trupach” – padła odpowiedź. I tyle. Kaźń sprzed lat spowszedniała i wtopiła się w krajobraz. Bo Trupie Pole jest tylko jednym z tysięcy podobnych miejsc na Wołyniu. One nie krzyczą. Czekają aż my wykrzyczymy ich nazwy.

Olaf Popkiewicz – archeolog, kierownik prac ekshumacyjnych na Trupim Polu i w Woli Ostrowieckiej prowadzonych w roku 2011. Bronioznawca, biegły IPN.





WYSPA OCALENIA

Wołyńska wieś, która pod okupacją niemiecką rozrosła się do rozmiarów miasta, przeobraziła się w fortecę i funkcjonowała niczym autonomiczne polskie minipaństwo. W 1943 r. stała się szansą na ocalenie dla Polaków, uciekających przed banderowskim ludobójstwem.

Przed wojną samo Przebraże liczyło zaledwie ok. 1000 mieszkańców, wraz z okolicznymi przysiółkami liczba ta wzrastała do 2000. Mało kto przypuszczał, że znacznie później, kiedy działania wojenne pustoszyły polskie miejscowości, rozrosło się ono do ok. 12 tys. mieszkańców. Specyfiką tego miejsca stanowił zwyczaj, że wśród młodzieży w dobrym tonie było zainteresowanie sportem i wojskowością. W Przebrażu działały Związek Strzelecki, Kompania Obrony Narodowej i Związek Rezerwistów. Pomieszkiwali tam podoficerowie i weterani Wojska Polskiego lub armii carskiej. Tamtejsze placówki oświatowe przywiązywały wagę do umiejętności takich, jak strzelectwo, rzut granatem i marszobieg szlakiem legionów ku Kostiuchnówce.

Przyszły komendant Przebraża

W takim środowisku wzrastali młodzi bracia Cybulscy, a wśród nich Henryk, przyszły komendant placówki. Niezwykle sprawny fizycznie startował w konkursach z Januszem Kusocińskim, lecz jego karierę sportową przerwała wojna. Wbrew jego oczekiwaniom nie został zmobilizowany. Otrzymał atrakcyjną posadę w nadleśnictwie w Kiwercach. To jednak sprawiło, że za czasów okupacji sowieckiej wywieziono go na daleką północ Związku Sowieckiego.

Pierwsza masowa deportacja w wyjątkowo mroźną zimę 10 lutego 1940 r. objęła bowiem służbę leśną. Cybulski zabrany za koło podbiegunowe uciekł stamtąd na wiosnę, gdy tylko nadarzyła się okazja, wyposażony w nóż, z kilkoma kromkami chleba. Pomimo samotności spowodowanej koniecznością unikania ludzi, dramatycznych sytuacji przekraczających ludzką wytrzymałość psychiczną i fizyczną pokonywał pieszo 50-60 km dziennie. Zanim dotarł do Przebraża, minęło osiem tygodni. „Stanałem o północy w rodzinnej wsi. Bieg był zakończony. Potworny bieg, którego nie wytrzymałoby żadne zwierzę. Bez widzów i oklasków. Na mecie witała mnie kojąca cisza. Dla rodziców, braci i sióstr mój powrót był zupełnie czymś niewiarygodnym. Ja także nie mogłem uwierzyć w to wszystko”. Na wschodzie II Rzeczypospolitej, w jej południowej części, jednak to nie okupacja sowiecka stała się największym dramatem.

Po wejściu na te ziemie wojsk niemieckich Ukraińcy stali się ludnością uprzywilejowaną. W sierpniu 1942 r. do miasteczka Zofiówka, nieopodal Przebraża, w którym mieszkała ludność żydowska, przyjechało 11 ciężarówek załadowanych ukraińskimi schutzmanami (policjantami) i kilkoma niemieckimi esesmanami. Miasteczko otoczono szczelnym pierścieniem. Żydów, bez względu na płeć i wiek, schutzmani wprowadzali partiami do lasu. Kolejne osoby

zmuszano, by kładły się warstwami w wykopanych dołach i mordowano, strzelając w tył głowy. W ten sposób zlikwidowano 5 tys. Żydów, pustosząc pobliską Zofiówkę. To właśnie z wykonawców takich zbrodni na Żydach, którzy zdezerterowali później do lasu, powstał fundament Ukraińskiej Powstańczej Armii. W tym czasie oddziały ukraińskiej policji w służbie Niemców dokonywały represji na polskich mieszkańcach Wołynia za – rzeczywiste bądź rzekome – ukrywanie Żydów lub współpracę z „bandami żydowskimi”.

Policja ukraińska po rozprawieniu się z Żydami zaczęła szukać broni w polskich domach. Członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) podszywali się pod uczestników polskiej konspiracji i zbierali po domach broń w celu rzekomego gromadzenia jej na potrzeby powstania przeciw Niemcom.

Łuny, które nie gasną

W marcu 1943 r. mieszkańcy Przebraża, tak jak i wszyscy Wołyniacy, zobaczyli łuny nad polskimi wsiami. To oznaczało, że fala zbrodni zbliża się do miejscowości. Mieszkaniec pobliskiej Przebraży Dermanki Baltazar Trybalski widział z ukrycia, jak wywieziono związaną drutem kolczastym przez usta jego żonę i dwoje dzieci, a następnie powoli mordowano.

Henryk Cybulski wspominał, że „Łuny pożarów nie gasły już ni dnem ni nocą”. W Przebrażu zorganizowano wówczas kilkudziesięciosobowe nocne warty, jednak ich uzbrojenie – widły i siekiery – nie dawały gwarancji bezpieczeństwa. Najważniejsze było uzyskanie pozwolenia na broń od Niemców. W przeciwnym wypadku, nawet gdyby mieszkańcy się uzbroili, po jej skutecznym użyciu w obronie własnej niemiecki okupant spacyfikowałby wieś. Ludwik Malinowski „Lew”, cywilny szef Przebraża, sprytnie poprosił niemieckiego urzędnika w Kiwercach Kreislandwirtha Jeskego nie o pozwolenie, lecz o broń do obrony przed bandytami. Gdy ją otrzymał za pokwitowaniem, posiadanie broni przez przebrażan stało się legalne. Wnet okazało się jednak, że mieszkańcy poukrywali po walkach w latach 1939 i 1941 mnóstwo broni. Każdy dorzucał coś ze swoich zasobów do wspólnego arsenału. Dopóki istniało Przebraże, jego dowództwo upoważniało ludzi do pozyskiwania broni i amunicji.

Arsenał Przebraża wymagał rozsądnego gospodarowania. I tak broń kolekcjonerską z kilkudziesięcioma sztukami amunicji, której uzupełnień nie można było pozyskać, przydzielano wyłącznie najlepszym strzelcom aż do wyczerpania amunicji.



Uciekinierzy koczujący w Przebrażu.
Fot. zbiory Tadeusza Wolaka



Czaszka dziecka wydobytą podczas ekshumacji na Trupim Polu.
Fot. Olaf Popkiewicz

Uruchomiono także własną produkcję broni. W tym celu powstały dwie rusznikarnie. Szefem jednej był Wojciech Olszewski, a drugiej Zenon Paszkowski. Szczególnie zasłynął ten pierwszy, który jako były podoficer Wojsk Pancernych Wojska Polskiego, pracujący przy tankietkach, stał się niezwykle przydatny. Uruchomił produkcję automatów, nauczył się hartować stal i skonstruował z wymontowanych dział czołgowych mobilną przebrazańską artylerię o zasięgu 8 km. Rozpoczęto budowę umocnień fortyfikacyjnych. W tym celu z całej okolicy zwijano drut kolczasty, wykopywano okopy, przygotowywano stanowiska ogniowe. W miarę przybywania do wsi coraz większych rzesz uciekinierów modyfikowano plany umocnień. Ich granice musiały się rozrastać, uwzględniając nowe plany odpięcia ataków. Ocaleni często przynosili ze sobą nową broń. Jej posiadanie na użytek prywatny przebrażanie zdelegalizowali. Wszystko musiało być przeznaczone wyłącznie dla obrońców.

Dni mijały, a uciekających ludzi przybywało. Dowództwo placówki organizowało także wyprawy i ewakuację mieszkańców innych wsi. Wzrastająca liczba mieszkańców powodowała problemy z żywnością. Jeszcze zanim komendantem został Henryk Cybulski, głód silniejszy niż poczucie bezpieczeństwa sprawiał, że ludność przebywająca w Przebrażu przedzierała się do wsi ukraińskich, by kupić tam żywność. Takie wyprawy często kończyły się śmiercią.

U każdego gospodarza było zakwaterowanych wiele rodzin. Koczujący uciekinierzy, dla których nie starczyło miejsca w przebrazańskich domach, budowali ziemianki i szałas. Były one ogradzane drutem kolczastym, okopami, a także włączane do systemu obronnego Przebraża. Jedno z takich osiedli nosiło nazwę „Warszawa”.

Uderzenie UPA i reorganizacja obrony

Pierwszy atak 5 lipca 1943 r. omal nie skończył się upadkiem Przebraża. Oddział banderowców przedostał się na jednym z odcinków obrony od wsi Zagajnik. Skradając się nocą, zdołał zaskoczyć członków samoobrony. W ostatniej chwili dostrzegli go ludzie spoza miejscowego oddziału, którzy tam przebywali z erkaemem, i wystrzelili serię. W rezultacie polski oddział wycofywał się w nieładzie, choć w całości, w kierunku centrum Przebraża, do momentu aż na pomoc przybył z posiłkami i jeźdźcem sam komendant. Jeździec częściowo ubrany galopował na koniu. Biegając do walki, Cybulski z ludźmi mijali uciekających w białej i koszulach mieszkańców Zagajnika. Na miejscu, dzięki śmiałości atakowi i manewrowi okrążającemu, upowcy zaczęli uciekać.

Po tym przypadku dokonano zmian w organizacji samoobrony. Wyszkolono cztery kompanie regularnego wojska, do którego rekrutowano kawalerów, którzy nie musieli martwić się o rodzinę i dobytek w momencie ataków. Kandydatów lustrowano, selekcjonowano i szkolono. Poszczególne kompanie miały koszar w konkretnym zagrożonym miejscu i były podzielone na plutony. Nikomu – tak jak w wojsku – nigdy nie wolno było bez pozwolenia i rozkazu opuszczać koszar. Łącznie w każdej kompanii znajdowało się po ok. 150–200 ludzi wyposażonych w najlepszą dostępną broń. Powstał też kilkudziesięcioosobowy zwiad konny. Oprócz oddziałów istniały patrole mieszkańców, tzw. pospolite ruszenie. Miały one własne warty i przydziały. Patrole dzieliły między siebie odcinki wartownicze,



*Kierownictwo samoobrony Przebraża, maj 1943 r. Na dole: Albert Wasilewski, Ludwik Malinowski, Henryk Cybulski. U góry: Roman Wolak „Szczapa”, Józef Wotulak.
Fot. zbiory Tadeusza Wolaka*

same warty były zaś ściśle ewidencjonowane. Każdy dorosły mieszkaniec musiał wspomagać funkcjonowanie Przebraża. W systemie obrony zaczęto masowo budować bunkry, do konstruowania których używano twardych dębowych bali. Bunkry, wzniesione na liniach obrony oraz poza nimi (na wypadek wdarcia się przeciwnika), były bardzo silnymi stanowiskami ogniowymi. W promieniowaniu ostrzału z nich, z okopów i zza drutów kolczastych (kilkudziesięciometrowe odcinki), wycinano las, by pozbawić nacierającego przeciwnika osłony.

Zaledwie kilometr od linii obronnych w stronę banderowskiego Trościańca stała wieża triangulacyjna o wysokości 65 m. Stąd widać było wiele ukraińskich wsi. Przebrazańskie wojsko wykorzystywało ją do nakierowywania ostrzału artyleryjskiego. Obserwator na wieży korygował ostrzał – dawał znak ustawionym w pewnych odstępach mieszkańcom, którzy następnie przekazywali sygnały artylerzystom. Pierwszy próbny ostrzał na postrach sympatyzujących z banderyzmem wiosek sprawił niemało zadowolenia mieszkańcom, którzy opisywali ucieczkę ukraińskich chłopów wypędzających bydło z obór. Potem kilka pobliskich ukraińskich wsi ewakuowało się w obawie przed przebrażanami. Jedna z ukraińskich miejscowości o nazwie Jezioro zawarła z przebrazańską dyplomacją pakt o nieagresji. Jej mieszkańcy dostarczali Polakom informacji o ruchach UPA, pomagali produkować mąkę i z nimi handlowali. Niektóre z ukraińskich rodzin poprosiły o włączenie ich do systemu obrony Przebraża.

Organizacja życia cywilnego

Przebrażanie spisywali się doskonale także w organizacji spraw niezbędnych dla przeżycia ludzi w kwestiach pozawojskowych. Produkowano mydło, by uniknąć rozprzestrzeniania się epidemii. Powstał szpital i służby medyczne, piekarnie i młocarnie zboża, choć chętniej dowództwo wysyłało wyprawy do młynów na zewnątrz twierdzy, ponieważ były bardziej wydajne. Kluczowe dla przetrwania były wyprawy na pola, z których nie miał już kto zbierać plonów. Każda z takich wypraw osłaniała dyżurująca kompania, której plutony ubezpieczały poszczególne grupy żniwiarzy. Wymiana strzałów nie była rzadkością, ponieważ UPA chciała wziąć mieszkańców głodem.

Powszechne było odnajdywanie, np. w lasach, przerażonych polskich dzieci, żywiących się szczeniakiem i jagodami, lub oszalałych ludzi z nieistniejących już wiosek.

„Ogarniała mnie zgroza, gdy patrzyłem na wychudłe, brudne i obdarte dzieci o zapadniętych policzkach, smutnych i nadwiel poważnych oczach” – pisał komendant. Cybulski zarządził więc akcję w miejscowościach Żurawice i Omelno. Chciał odzyskać stado kilkuset krów skradzionych w polskich wioskach przez UPA, aby zdobyć mleko dla dzieci. Udało się.

Przymierza wymuszone sytuacją

Druga banderowska ofensywa na Przebraże miała miejsce 31 lipca i zaczęła się od ataku na żniwiarzy. Chodziło o spowodowanie walk w polu. Doszło do regularnej bitwy pod Przebrażem. Prócz brawury polskich oddziałów w walce z przeważającymi siłami wroga ważną rolę odegrało dowodzenie Cybulskiego i użycie przebrańskiej artylerii, która w finałowej akcji rozbiła tabory wroga i trafiła w skład ich amunicji, który eksplodował. Zakończyło to walkę i spowodowało ucieczkę upowców. Przez cały czas trwania polskiej placówki działały – na kierunku ukraińskim i banderowskim, partyzantki sowieckiej i Niemców – zarówno wywiad, kierowany przez Zygmunta Drzewieckiego, jak i dyplomacja. Drzewieckiemu zdarzało się pozyskiwać infor-

macje nawet z miejscowego dowództwa UPA. Biegł mój po ukraińsku, więc czasami przebrał się za ukraińskiego chłopca, by zdobyć informacje.

Mieszkańcy Przebraża otrzymywali także regularną pomoc od polskiego podziemia, a wielu uczestników samoobrony, włącznie z samym komendantem, było zaprzysiężonymi członkami Armii Krajowej. Przebrażanie zabili kilku agresywnych partyzantów sowieckich, a Sowieci zamordowali podstępnie Jana Rerutkę „Drzazgę”, dowódcę współpracującego z Przebrażem oddziału AK. Bardzo podobnie było z Niemcami, którzy zabili pewną liczbę mieszkańców, sami też tracąc z ich ręki ludzi. Wszystko to działo się w wyjątkowo specyficznych okolicznościach.

Ostatecznie, by rozbić Przebraże, upowcy ściągnęli doborowe oddziały z Małopolski Wschodniej. W oblężeniu i finałowym ataku uczestniczyło łącznie co najmniej 6 tys. napastników. Oznacza to, że w celu zniszczenia polskiej twierdzy ściągnięto sporą część całej UPA.

Na Wołyniu operował wówczas sowiecki oddział Nikołaja Prokopiuka. Jego ludzie wielokrotnie korzystali z uprzejmości przebrażan. Przed główną fazą oblężenia Henryk Cybulski wysłał do partyzantki Prokopiuka żądanie pomocy. W finałowej akcji walki, kiedy Polacy ledwo nadążali wymieniać magazynki z amunicją, Sowieci podeszli atakujące banderowskie oddziały z tyłu. Banderowcy nie reagowali, myśląc że to kolejna fala ich kamratów przeznaczona do zniszczenia Przebraża. Całe pole i las zostały zasiane setkami banderowskich trupów. Widok jak na Wołyn o tyle niezwykle, że nie zdołali go powtórzyć później zwalczający UPA Sowieci po ostatecznym oderwaniu Wołynia od Polski. UPA nie zdobyła się już nigdy na czwartą i kolejną próbę rozprawienia się z mieszkańcami małej „Republiki Przebrańskiej”.

ALEKSANDER SZYCHT, historyk, dziennikarz i redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”, specjalizujący się w tematyce nacjonalizmu ukraińskiego.

Rzeczpospolita Zasmycka

Oddział samoobrony polskiej wsi dał początek 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Zasmyki – Ta położona 15 km na południe od Kowla osada była niemalże jednolita etnicznie – zamieszkiwana przez Polaków. Początki konspiracji w Zasmykach sięgały jeszcze okupacji sowieckiej, ale intensywniej zaczęła się ona rozwijać dopiero w 1941 roku, po agresji III Rzeszy na ZSRR.

Parszywa dwunastka

Nic dziwnego, że władze konspiracyjne Okręgu Wołyń Armii Krajowej zdecydowały w kwietniu 1943 r. o jak najszybszym

tworzeniu oddziałów partyzanckich. Aby wesprzeć powstającą samoobronę Polaków, komendant, płk Kazimierz Babiński „Luboń”, rozkazał objąć kontrolą konspiracyjną te oddolne inicjatywy. Na początku lipca 1943 r. do Zasmyk z pobliskich Radowicz zjechał zatem 12-osobowy oddział pod dowództwem ppor. Henryka Nadratowskiego „Znicza”.

Ta wieś idealnie nadawała się do prowadzenia samoobrony. Od północy oddziały ją duży las i trudna do przebycia piaszczy-

sta droga. A od południa od wsi ukraińskich chroniły ją liczne zagajniki i niewielkie jeziora. Na dodatek wokół Zasmyk znajdowały się mniejsze polskie wioski, takie jak Stanisławówka, Janówka, Radomle, Batyń, Gruszówka i Stefanówka. Z niedalekiego Kowla do Zasmyk zaczęli przybywać młodzi członkowie konspiracji i delegowani oficerowie w celu sformowania pierwszych oddziałów partyzanckich i objęcia nad nimi dowództwa. Wśród nich znalazł się por. Władysław Czermiński „Jastrząb”. Ten młody oficer, z wykształcenia nauczyciel, zaczął organizować wraz z por. Michałem Fijałką „Sokołem” – cichociemnym, obrońców na wzór wojskowy. Sformował plutony i wprowadził żelazną dyscyplinę wojskową.

Siła socjotechniki

„Jastrząb” wiedział, że do obrony polskich osad nie wystarczą siły, jakimi dysponuje. Nie mając przewagi militarnej, postawił na działania psychologiczne i podstęp. Jak wspomina Leon Karłowicz „Rydz”, jeden z pierwszych żołnierzy oddziału partyzanckiego „Jastrzębia”: „Ukraińcy nie mieli pojęcia, ile ludzi liczy załoga, kto nią dowodzi, jaką dysponuje bronią. A rozsiewane celowo wieści o tysiącach żołnierzy, o działach i karabinach maszynowych, o nieustannie napływającej pomocy, i to aż zza Buga, robiły swoje. Dowództwo czyniło wszelkie możliwe wysiłki, aby rozpuszczane pogłoski udokumentować wizualnie. W tym celu niewielki oddział dzielono na dwie, trzy części i prowadzono pod same ukraińskie wsie, aby przeciwnicy mogli oglądać uzbrojonych ludzi w tym samym czasie. Nieraz »Jastrząb« ustawiał chłopców w długi rząd w znacznych odległościach i kazał przemycać w samo południe między drzewami i krzewami, przebiegać szybko przez odkryte tereny w kółko, by po kilka razy zniknąć w gęstwinach, a po paru minutach wybiegać znowu z poprzedniego miejsca na odkryte pole, zatoczyć krąg i natychmiast zniknąć. Z dala robiło to wrażenie przynajmniej kilkusetosobowego oddziału”.

Aby nie wyczerpywać zbytnio sił swoich żołnierzy, por. Czermiński nakazał dawać broń nieuzbrojonym kolegom i odbywać przemarsze na skrajach ukraińskich wsi. Wiedział bowiem, że są pilnie obserwowani przez miejscową ludność. Gdy zwiadowcy UPA zapuszczali się pod polskie wsie, widzieli liczne warty, które często były uzbrojone w karabiny... wystrugane z kijów. Tego typu działania zniechęcały dowództwo UPA do bezpośredniego ataku na twierdzę zasmycką, a ta ciągle się powiększała o kolejne polskie przyległe wsie.

Ukraińcy spod znaku UPA również postanowili wykorzystać fortel i w celu infiltracji polskiej załogi wysłali miejscowych Ukraińców do polskich zagród pod pretekstem wymiany handlowej bądź sąsiedzkich odwiedzin. Czujni Polacy na



pytania sąsiadów o siłę polskiej partyzantki odpowiadali jednak, że jest wielotysięczna, uzbrojona w armaty i z każdym dniem się powiększa o nowo utworzone lub przybyłe siły.

Obawiając się bezpośredniej konfrontacji, upowcy zainicjowali negocjacje ze stroną polską, tzw. dohovory, w sprawie wspólnej walki z okupantem niemieckim. Odbywały się one w zasmyckiej szkole. Banderowcy proponowali żołnierzom Armii Krajowej braterstwo broni, ale dopiero po rozbrojeniu polskich wsi. Por. „Jastrząb” wykorzystywał takie okazje, żeby wprowadzić w błąd Ukraińców i urządzał kolejne „przedstawienia”. W czasie negocjacji stron organizował pod oknami szkoły przemarsze swoich jednolicie umundurowanych i dobrze uzbrojonych żołnierzy. Gdy znikali z pola widzenia Ukraińców, przekazywali elementy umundurowania i broń kolejnym kolegom, którzy następnie odstawiali to samo widowisko na oczach delegacji ukraińskiej. Ponieważ przeciągane przez stronę polską rozmowy nie przyniosły skutku, Ukraińcy postanowili skoncentrować znaczące siły w celu rozprawy z partyzancką załogą.

Czas próby

Ostatecznie banderowcy postawili Polakom ultimatum. Do 31 sierpnia załoga polskiej samoobrony miała złożyć broń i podporządkować się rozkazom UPA. Polscy oficerowie dowiedzieli się, że we wsi Gruszówka znajdują się znaczne siły przeciwnika, przygotowujące się do rozprawy z Zasmykami. „Znicz”, „Sokół” i „Jastrząb” postanowili przeprowadzić atak wyprzedzający.

W nocy z 30 na 31 sierpnia 1943 roku polscy partyzanci zakradli się pod zabudowania zajętej przez Ukraińców wsi. Atak był totalnym zaskoczeniem. Przerazeni

banderowcy po intensywnej, ale krótkiej wymianie ognia uciekli przed dużo mniej licznymi siłami polskimi, które zdobyły porzuconą broń, żywność i tabor przygotowane do „oczyszczania” Zasmyk i okolicznych wsi z Polaków. W trakcie walki poległ strzelec Stanisław Romaniewicz „Zając”. Następnego dnia w zasmyckim kościele odbył się jego uroczysty pogrzeb, który stał się wielką manifestacją miejscowej ludności polskiej. W trakcie nabożeństwa żałobnego ksiądz Michał Żukowski wygłosił doniosłe przemówienie: „W obliczu Boga Wszechmogącego, przed trumną tego z was, polskiego żołnierza, który pierwszy oddał życie na polu walki za wolność nas wszystkich, ogłaszam Wolną i Niepodległą Rzeczpospolitą Zasmycką! Dziś jest ona tylko Zasmycką, ale niedługo już czas, gdy rozszerzy swoje granice do rozmiarów, które jej się z tytułu prawa i historii należą! I stanie się wtedy Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską! Nie ma dziś w naszej Rzeczypospolitej Zasmyckiej ani jednego wroga, a da Bóg, że nie będzie go na wszystkich polskich ziemiach!”. To przemówienie wywarło ogromne wrażenie na zebranych i wywołało poruszenie. Zaraz potem rozległ się z wieży kościelnej dźwięk dzwonu, który został zdjęty we wrześniu 1939 r. Miał być ukryty w ziemi, aż do dnia odzyskania niepodległości.

Kolejne tygodnie 1943 r. przyniosły partyzantom „Jastrzębia” działania ofensywne. Rozbito sotnie m.in. w Osieczniku, Rymaczach, Dażwie. Ewakuowano też polskich mieszkańców Dąbrowy do twierdzy zasmyckiej. Akcja ta została przeprowadzona niemalże w ostatniej chwili, bo gdy polskie tabory opuszczały wieś, z jej drugiej strony pojawiły się bandy UPA. Konwój cywilów był ewakuowany pod ostrzałem i prawie bez strat dotarł do Zasmyk. Działania polskiej samoobrony za-

częły wykraczać daleko poza obronę ludności polskiej.

Niedaleko Zasmyk była miejscowość zamieszkała przez osadników czeskich – Kupiczów. Stacjonował tam niewielki garnizon niemiecki, zajmujący się zbieraniem kontyngentów żywnościowych na potrzeby III Rzeszy. Po zbiorach załoga przeniosła się do Kowla, a mniejszością czeską zainteresowali się banderowcy. Mieszkańcom postawili ultimatum: albo przyłączą się do rzezi Polaków, albo sami padną jej ofiarą. Przerazeni ludzie wysłali w połowie listopada 1943 roku delegację do porucznika „Jastrzębia” z prośbą o wsparcie. Jego oddział wyruszył na pomoc Czechom i zajął ponemieckie pozycje wokół Kupiczowa. Wielu partyzantów mówiło, że ich dowódca miał niesamowity instynkt, ponieważ w niedługim czasie nastąpił frontalny atak UPA na tę miejscowość. Ramię w ramię polscy partyzanci walczyli z czeskimi konspiratorami z lokalnej organizacji Aktyw. Banderowcy użyli w tych walkach m.in. czołgu własnej konstrukcji, przerobionego z traktora, który został szybko zniszczony przez obrońców.

Ukraińscy rezuni nie dawali jednak za wygraną. Po raz kolejny postanowili zaatakować Zasmyki, tym razem stosując fortel. W święta Bożego Narodzenia ostrzelali z armat czeski Kupiczów i przeprowadzili na tę miejscowość pozorowany atak. Była to jednak mistyfikacja, ponieważ w tym samym czasie na teren samoobrony zasmyckiej wjechały wozy z ludźmi w niemieckich mundurach. Byli to przebrani banderowcy, którzy wiedzieli, że Polacy starają się unikać walk z niemieckim okupantem i nie będą stawiali oporu, a więc przepuszczą wozy. Zaskoczenie faktycznie było ogromne. Spłonęły wówczas kolonie Janówka, Radonie i Stanisławówka. Zginęło blisko 50 obrońców i ludności cywilnej, ale atak został odparty. Było to ostatnie frontalne uderzenie UPA na polską twierdzę.

Na początku stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę Polski. Dowództwo Okręgu Wołyń AK wydało 15 stycznia 1944 r. rozkaz o mobilizacji oddziałów partyzanckich na bazie samoobrony w Zasmykach i okolicznych polskich wsiach. Miejscowi dowódcy dalej stali na czele swoich formacji, które rozrosły się już do batalionów. W następnych miesiącach brały one udział w walkach powstałej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, aż do jej rozbrojenia w lipcu 1944 r. pod Skrobowem na Lubelszczyźnie przez Armię Czerwoną. „Jastrząb”, „Sokół” i „Znicz” przeżyli wojnę i byli potem znanymi działaczami społeczności wołyńskiej. Po Zasmykach niestety nie zostało do dziś prawie nic. Jedynym symbolem obecności Polaków w tej miejscowości jest cmentarz wojenny żołnierzy, którzy w latach 1943–1944 oddali swoje życie w obronie polskiego narodu.

JAKUB NAWROCKI



Polska Zbrojna

Projekt z jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” został przygotowany przez zespół Wojskowego Instytutu Wydawniczego pod redakcją Anny Putkiewicz.

Teksty umieszczone w numerze okazyjnym były publikowane w wydawnictwach WIW.

Opracowanie graficzne:

Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka (opracowanie graficzne)

Zdjęcie na I stronie: Maciej Podczaski, Paweł Kępka

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW

Marta Sachajko (kierownik)

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne Sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski

Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”

Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL